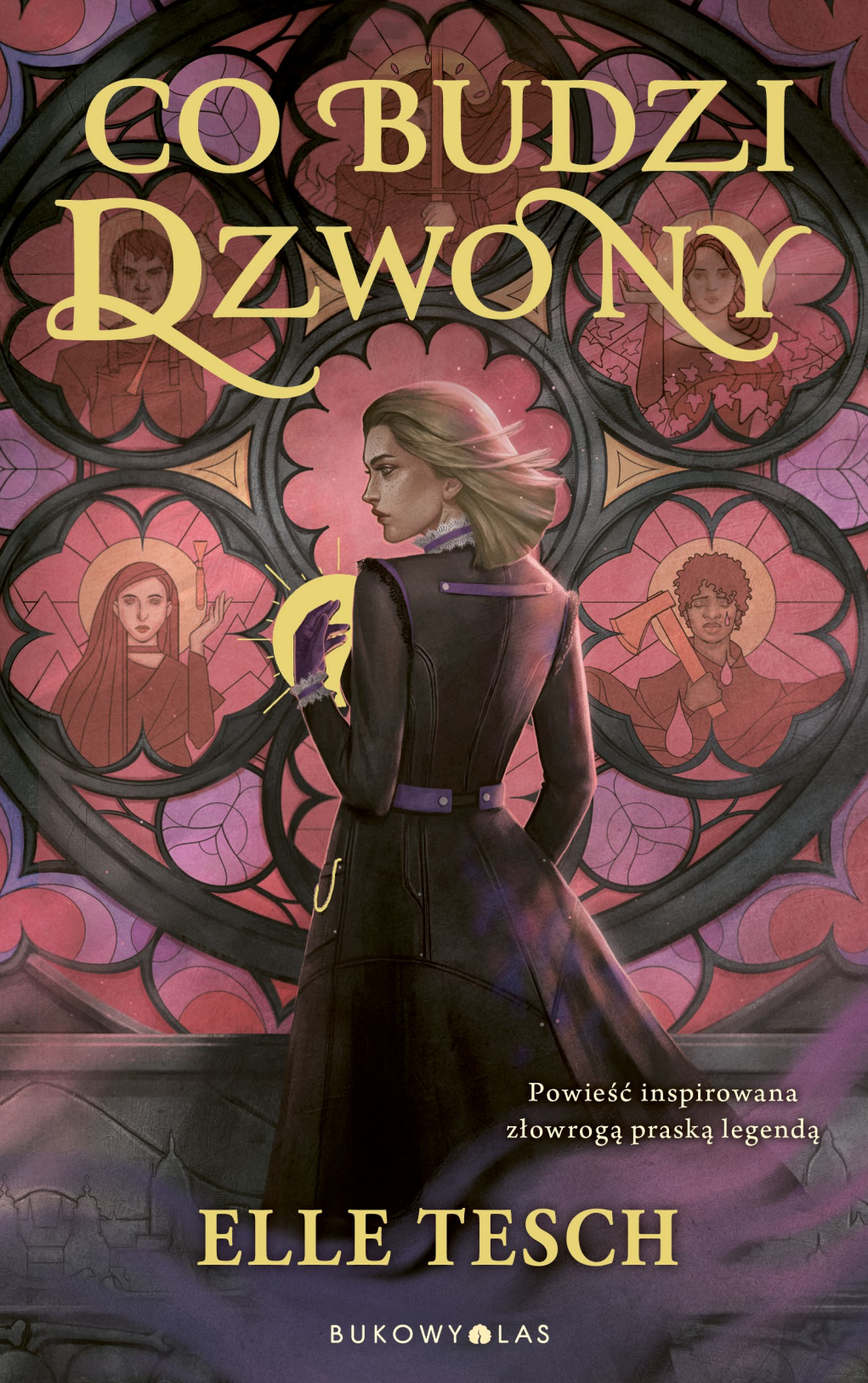


CO BUDZI DZWOŃ

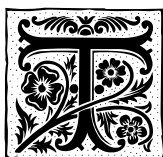


Powieść inspirowana
złowrogą praską legendą

ELLE TESCH

BUKOWY LAS

Rozdział 1



o właśnie wtedy, w ostatnich tchnieniach godziny, wyczuwam bijące serce miasta.

Zamykam oczy i wyczuwam puls Vai-wyn, miarowy jak mój własny. Delikatne tętno pod warstwami kamienia, metalu i drewna. Miasto krwawi z żył brukowanych arterii, skrzypi starymi belkami, rozprostowując swoje rosnące kości. Zabytkowe budynki mają pełno szczelin i wyłomów, przez które świszczy wiatr, dając mu oddech życia. Jego żywy rytm jest idealnie zsynchronizowany z głośnym tykaniem zegara nad moją głową oraz z cichym cykaniem kieszonkowego zegarka, który trzymam w dłoni.

Puls, zegar i mój zegarek wspólnie odliczają czas do godziny pierwszej.

Zatrząskuję srebrny czasomierz bladymi, poplamionymi smarem palcami i chowam go do kieszeni. Cienki łańcuszek laskocze mnie w nogę, gdy zaciskam ręce na ciężkich obcęgach. Ząbkowane, krystaliczne ostrza migają w zamglonym świetle spowijającym południową tarczę zegara. Otwieram je i zamykam na próbę, jak zawsze, gdy czuję, że w moich mięśniach narasta napięcie.

Zostały dwie minuty.

Jedną ręką przysuwam drabinkę bliżej swojego majestycznego podopiecznego.

Mimo że spędziłam przy nim połowę dzieciństwa, wątpię, bym kiedykolwiek zbliżyła się do Arbutusa bez zdrowej dawki nieufności. Dzwon jest ciemny i stary, szorstka warstwa rdzy pokrywa go niczym druga skóra. Jego masywną sylwetę z brązu zdobi cienkie, ostre pismo w języku, którego nie zna żaden uczony. To jedyny dzwon w Lyndell Hall i jeden z najbardziej niebezpiecznych w całym mieście.

Vesper – dzwon nieszporny, który umierająca Święta wykuła swoim ostatnim tchnieniem.

Już mam wsunąć drabinę pod jego serce, ale się zatrzymuję, widząc paskudną białą maź ześlizgującą się po boku dzwonu. Marszczę nos.

– Cholerne ptaszyska – mruczę, spoglądając na belki w górze. Dziesiątki kruków zrobiły sobie z mojej dzwonnicy grzędę. Nie dziwi mnie, że paskudzą, ale to nie oznacza, że cieszą mnie konsekwencje posiadania takich sąsiadów.

Wieniec Arbutusa unosi się na wysokość moich bioder. Przechyliłam drabinę, by ją zmieścić w jego gardzieli, i nie tracąc czasu, daję nura w ślad za nią. Natychmiast ogłusza mnie nieustanny zgrzyt kół zębatych w płaszczu dzwonu.

Została jedna minuta.

Zaczynam się trząść. Zimne cienie zamieszkujące zardzewiałe wnętrza oblepiają rękawy mojego grubego swetra, gdy wspinam się do jego skorodowanego serca. Zupełnie, jakby kolos wiedział, co zamierzam zrobić. I pragnął mnie powstrzymać.

Ale nie mam wyjścia – muszę odebrać mu głos. To mój najwyższy priorytet.

Przykładam nożyce do najwęższej części żelaznego bijaka, poniżej haka, na którym jest zawieszony. Biorę głęboki oddech i przystępuję do amputacji.

Pół minuty.

Zaczynam ciąć, ostro i zdecydowanie. Z wysiłku bolą mnie ramiona, ale to satysfakcjonujący ból. Wykonane wieki temu przez Wzburzonego Szklarza ostrza, wykończone hartowanym szkłem, wgryzają się w metal. Kawalek po kawalku, warstwa po warstwie, serce powoli się poddaje.

W samą porę ze szczytu dzwonnicy do moich uszu dociera nowy dźwięk – słaby, ale wyraźnie różniący się od niekończącego się, mechanicznego bim-bam. Bijak wisi teraz na włosku. Jeszcze jedno cięcie i...

Z krzykiem zginam się wpół, bo moją klatkę piersiową przeszywa obezwładniający żar.

– Nie, nie t e r a z – syczę przez zaciśnięte zęby. Obcęgami ze stukotem spadają na podłogę. Ściskam się za piersi i walę pięścią w zimny brąz, ale to tylko zwiększa frustrację, która kipi teraz obok ciepła spalającego mnie od środka.

Jak we śnie słyszę, jak uruchamiają się kolejne tryby. Z brzękiem wprowadzają w ruch delikatne mechanizmy; panika miażdży moje płuca.

Już pierwsza.

A ja nie jestem gotowa.

Z nadejściem pełnej godziny liny skrzypią na prowadnicach, a otaczająca mnie ciemność się zmienia. Zastygła z przerażenia patrzę poprzez łyzy, jak warga dzwonu z wolna się przechyla.

Ból znika tak nagle, jak się pojawił. W moim walącym sercu pozostaje tylko tępe klucie.

Zanim mam czas poukładać myśli, kontrolę nade mną przejmuje jakiś desperacki instynkt. Zeskakuję z drabiny,

chwytam z ziemi nożyce, po czym włożę z powrotem na szczyt. Zaciskam ostrza na metalu, dookoła lecą iskry.

Ostatnia warstwa żelaza ustępuje.

Serce z trzaskiem spada na drewniane deski.

Ciężar Arbutusa uderza mnie w kolana. Tracę równowagę. Z przekleństwem na ustach spadam z drabiny i usiłując zaczerpnąć tchu, niezdarnie wytaczam się spod dzwonu.

Leżę płasko na plecach i mogę tylko wstrzymać oddech, gdy kolos z brązu unosi się do maksymalnej pozycji. Cztery liny rozluźniają się i rozkołysany dzwon rusza w drogę powrotną.

W ciemności trzepoczą skrzydła spłoszonych kruków. Przez otwarte okiennice z dzwonnicy wypada rozkrakane kłębowisko onyksowych piór i dziobów.

Dźwięk dzwonu nie jest głęboki czy specjalnie bogaty. To tylko głuchy brzdęk. Pusta nuta, która niemal rozrywa moje drżące kości. Cicha vibracja przenika dzwonnice i każde piętro Lyndell Hall, niczym lawina rozchodzi się ponad dachami Vaiwyn aż po otaczające miasto szczyty.

Pieśń nieszpornego dzwonu. Głos budzący trwogę w duszach wszystkich, którzy go słyszą. Przypomina nam bowiem o tym, do czego jest zdolny i jaki straszliwy los mógłby sprowadzić na nasze zbudowane przez Świętych miasto, gdyby tylko mu na to pozwolić.

Nagle dzwon nieruchomieje. Zastyga w bezruchu, jakby zatrzymany jakąś niewidzialną ręką. Ale znajdujące się pod nami miasto jest wciąż w niebezpieczeństwie. Choć dzwoni mi w uszach, wytężam słuch – nasłuchuję, czy odezwał się któryś z czterech pozostałych Vesperów, czy któryś z nich nie próbuje przypadkiem obudzić Zmory.

Cisza.

Z długim wydechem pozbywam się lodowatego niepokoju i zaciskam dłoń na niewielkim medaliku na szyi. Wygładzone rozmodlonymi palcami złote rysy Zaginionej Alchemiczki są ledwo widoczne. Mimo to chwytam medalion i odmawiam modlitwę dziękczynną do Świętych, dziękując im za to, że nie skończyło się źle. Powinnam uważać się za szczęściarę.

Ten dziwny, sporadyczny ból nawiedza mnie od ponad tygodnia. Po prostu tego nie n a w i d z e. Z westchnieniem rozcieram klatkę piersiową. Pieczenie zawsze zaczyna się od serca, jakby na moment zamarło, a następnie uderzyło niczym krzesiwo o kość. Podejrzewam, że to objaw stresu i przepracowania, ale myśl o zrobieniu sobie przerwy od pracy w dzwonnicy rodzi tylko większy niepokój. Zaciskam pięść. Jeśli sobie z tym nie poradzę, to będzie kolejna słabość, którą matka wykorzysta przeciwko mnie.

Bo każdego dnia i każdej nocy, kiedy pięć dzwonów nieszpornych w naszym mieście próbuje wybić godzinę pierwszą, na straży niezmiennie stoją Strażnicy Dzwonów. Od tysiąca lat, odkąd sami Święci wyznaczili na to stanowisko pierwszego z moich przodków, Straussowie i ich nożyce byli jedynym, co chroniło Vaiwyn przed powtórką z historii. Przed straszliwym demonem – dziś znanym jedynie jako Zmora – który niegdyś opanował nasze miasto, a ono samo doprowadziło się do zguby.

Wykute przez Zaginioną Alchemiczkę w akcie poświęcenia dzwony nieszporne i ich pieśni miały za zadanie wygnać Zmorę z tego świata. Niestety, moc demona była zbyt wielka – nawet ogromna siła Alchemiczki nie mogła jej w pełni powstrzymać. Jego piekielna potęga połączyła się z jej boską magią i wypaczyła funkcjonowanie dzwonów.

Teraz Vesperry oraz ich pieśni są zarówno ostrzeżeniem dla Vaiwyn, jak i sygnałem wzywającym Zmorę do

zmartwychwstania. Dwanaście uderzeń oznacza alarm; trzynaste ożywia uśpione zło i wzywa je do powrotu z banicji. A my, Strażnicy Dzwonów, dbamy o to, by dzwony nieszporne nigdy nie śpiewały.

Żaden Strażnik nigdy nie pozwolił swojemu podopiecznemu na to niszczycielskie trzynaste uderzenie i bez względu na to, co myśli moja matka, ja też do tego nie dopuszczę.

Podnoszę się na nogi, dziwny smród gryzie mnie w nozdrza. Pod palcami czuję ciepło odciętego serca. Jest większe ode mnie i waży więcej niż cała moja rodzina razem wzięta. Nie mam zatem wyboru – muszę je zostawić tam, gdzie upadło, ale oto już magia Vaiwyn zaczęła je wsysać. Wśród delikatnych trzasków drewno pochłania żelazo, sprawiając, że staje się częścią kości miasta. Przed upływem kolejnej godziny serce odrośnie na nowo i będzie gotowe do śpiewania, zanim dziś w nocy ponownie je odetnę.

Kładę nożyce na stole i poruszam ramieniem, na którym wylądowałam. Krzywię się z bólu. Jutro będę cierpieć, ale trudno, jakoś to przeżyję. Cały blat zavalony jest sprężynami i śrubami, narzędziami tłustymi od smarów, szmatami i szczotkami do ciągłego odkurzania części zegara; resztę miejsca zajmuje nowy podręcznik, który wysłała mi radna Tamzin. Ogromny rozmiar książki ponownie przypomina mi o matce i jej przekonaniu o mojej rzekomej... niedoskonałości.

Ze złością wyjmuję arkusz pergaminu. Chwytam pióro i piszę do Vanyi wiadomość, w której skarżę się na nawracające bóle serca. Nie chcę dawać matce więcej powodów do kwestionowania moich umiejętności jako Strażniczki ratuszowego dzwonu. To jest mój obowiązek. Urodziłam się po to, by to robić, i pewnie przy tym umrę jak wszyscy

Straussowie przede mną. Ona nigdy mi tego nie odbierze – to znaczy, jeśli sama jej w tym nie pomożę.

Wprawnym ruchem dwukrotnie zwijam arkusz i uderzam notatką o ścianę. Pergamin wtapia się w kamień, by poprzez żyły miasta dotrzeć przede mną do Zwiędłej Dalii.

Odwracam się i odchodzę, świece za mną samoczynnie gasną. Cienie wypełzające spod dębowych belek ścigają wahadło i przegryzają się przez resztki światła. Gdy się zbliżam, drzwi dzwonnicy cicho się otwierają, ale przystaję, by dotknąć liter wyciętych na łuku drzwiowym.

M-I-N-A.

Moje imię, wryte dekadę temu przez mojego zmarłego ojca. Jako siedmiolatka byłam najszczęśliwsza na świecie, patrząc, jak umieszcza mój znak na tej wieży, w której moja rodzina pełni swą dziedziczną misję. Wciąż się uśmiecham, gdy wspominam, jak ciężko pracował, by tu wykuć te litery. Siedziałam przy nim na chwiejnym stołku, słuchając miarowego skrobania jego scyzoryka, podczas gdy magia Vaiwyn bez przerwy sunęła po jego śladzie, usuwając zło-bienia w kamieniu. Ojciec cierpliwie szeptał do ściany, zaklinał ukryte pod nią kości miasta, aż przekonał Vaiwyn, by zaczęło postrzegać cięcia nie jako rany do zabliznienia, lecz tatuaż uwieczniający moje imię.

Znalazłszy się w swoim małym mieszkanku pod dzwonnica, zmieniam brudne spodnie na czyste wełniane spódnice i ściagam z haka tweedowy płaszcz. Przekładam srebrny zegarek ojca z jednej kieszeni do drugiej, znajdując w jego tykaniu oparcie i spokój. Przynajmniej on byłby ze mnie dumny.

Spiralne schody na najwyższe piętro Lyndell Hall są zdradliwe – stopnie zostały wygładzone przez czas i niezliczone stopy przodków. Podmuchy zimna muskają moje

policzki, gdy przeglądam się w wąskiej szybie, by poprawić na ustach ulubioną karminową szminkę. Niebo jest zachmurzone i ponure; rozproszony blask przenika zmatowione miedziane i gliniane dachówki, rześkie powietrze wyostża górujące nad miastem iglice. Taki blask zapowiada opady śniegu.

Marszczę brwi i zakładam krótkie, ciemnoblonde włosy za uszy, mijam wyłożony miękkim dywanem korytarz i wstępuję na kamienne schody. Nawet tu, w samym sercu gór, nikt nie spodziewał się śniegów jeszcze przez kilka tygodni. Odsuwając na bok myśl o wczesnej zimie, zapinam płaszcz i przechodzę obok biur rządowych, do żadnego nie zaglądając.

Główne schody siedziby naszej rady miejskiej mają ciasne zakręty i długie półpiętra. Na środku rozpościera się żelazny żyrandol z okręgiem płaczących świec. W ich delikatnych płomieniach splecionych z różową, liliową i złotą poświatą, która sączy się przez wysokie okno, migocze kurz, tańczący na wszystkich sześciu piętrach. Ów pył, gnieźdzący się w zakamarkach rzeźb, oblepiający zbroje i ramy portretów, jest integralną częścią Lyndell Hall – wytarcie go byłoby równoznaczne z usunięciem jedynej cegły, która sprawia, że budynek jeszcze stoi.

Ostatni zakręt schodów prowadzi do wielkiego, tętniącego życiem westybulu. Najwyraźniej właśnie zakończyło się zebranie, bo radni i ich asystenci płyną przezeń wartkim strumieniem.

Gdy wchodzę na marmurową, czarną jak heban posadzkę, natychmiast wyrasta przede mną radna Tamzin.

– Witaj, Mino. – Maszeruje żwawo i nie zwalniając kroku, kiwa mi głową na powitanie. Jej karmazynowe szaty trzepoczą zamasyście. Ma pewny i stanowczy styl bycia, taka sama jest zresztą w roli mentorki. Ogień, płonący w szerokim palenisku,

oświećta srebrne koraliki na końcach jej długich, czarnych warkoczy i podkreśla jej ciemnobrązowy profil.

– Dzień dobry, pani Tamzin – odpowiadam, po czym witam się z dwoma podążającymi za nią asystentami: – Cześć, Rhysie. Cześć, Maximillianie.

Lekko utykający Rhys macha do mnie z roztargnieniem, wspierając się na swojej lakierowanej lasce, lecz Max najwyraźniej mnie nie usłyszał. Jest całkowicie skupiony na niesionym przez siebie pergaminie. Gdybym go bacznie nie obserwowała, nie zauważyłabym, że upuścił na podłogę jakiś świstek.

Podobnie jak Tamzin nie zwalniam kroku i podnoszę papierek w locie. Nie mogę się jednak powstrzymać, odwracam się przez ramię i spoglądam na plecy Maxa. Choć jest o kilka lat młodszy, ma nad Rhysem parę centymetrów przewagi; jego luźno opadające kasztanowe loki są piękne i lśniące.

Przedarłszy się przez tłum członków rady, rozkładałam liścik i odkrywam, że na papierze narysowano inkaustem serce. Unoszę kącik ust w uśmiechu, a moje piersi zalewa inny rodzaj ciepła, którego nigdy nie chcę stracić.

Drzwi wyjściowe otwierają się przede mną i miasto obejmuje mnie swoim chłodnym uściskiem.

Wybrałam dłuższą drogę w dół wzgórza po to, żeby w spokoju pozbyć się uporczywych obaw związanych z bólem w klatce piersiowej, ale to nie ma znaczenia. O tej porze dnia na każdej ulicy w Vaiwyn dosłownie roi się od ludzi, głosów i zapachów. W szczególności na moście Schaden – jednym z trzech na tej odnodze rzeki Rigi, który stanowi najbardziej ruchliwą trasę między główną wyspą a południowym brzegiem.

Dlatego gdy nagle zatrzymuję się na jego środku, znów czując ten – niech go Święci przeklną – ból, natychmiast porywa mnie napierający tłum rozpychających się przechodniów.

Zaciskam zęby i lawiruję pomiędzy ludźmi, aż wreszcie opieram się o barierkę z posągami Płaczącego Cieśli. Po obu stronach mostu przycupnęło tuzin takich królewskich postaci wykutych z kamienia i pokrytej patyną miedzi. Ich puste, błyszczące potępieniem oczodoły są ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz potrzeba.

– Przestańcie! – warczę i szarpię płaszcz na piersi, jakbym mogła wyrwać z siebie ten ból. – Jeszcze tego mi brakowało.

Aby oderwać myśli, podnoszę wzrok na oszronione pasma Alosse, które otaczają Vaiwyn. Resztki śniegu wciąż uparcie przylegają do najwyższych szczytów, choć lato znacznie uszczupliło jego warstwę. Rozlega się bicie dzwonów ogłaszające miastu, że wybiła godzina druga. Wprawdzie góry zniekształcają dźwięk, ale wyraźnie odznacza się pięć różnych tonacji.

Poza tym, że uciszane przez swoich Strażników, Vespéry nigdy nie wybijają godziny pierwszej; Arbutus i pozostałe dzwony nieszporne wyśpiewują za pomocą swoich wiecznie odrastających serc najsłodsze możliwe melodie. Dwa są na południu: jeden w Dzielnicy Sądowej Ingmund, drugi na Uniwersytecie Buchari; kolejne dwa w Katedrze Elke i Banku Farvald na północy, piąty zaś w Ratuszu Lyndell położonym na wyspie pośrodku rzeki.

Mało mnie obchodzi, który z nich dzwoni w tej chwili. Ledwie oddycham, czując w piersiach kłujący żar. Mam wrażenie, że z uszu zaraz buchnie mi para.

Gdy ból w końcu ustępuje, zanurzam się z powrotem w tłumie i docieram do południowego brzegu.

Między kostkami bruku ciągną się niteczki cyny i złota, brązu i srebra. Gdybym tylko chciała, śledząc każdą z takich strużek, trafiłabym do budynku, do stopionych rzeźb i fortyfikacji, które kiedyś zdobiły. Te metalowe potoki są niczym zastygłe łyzy na obliczu miasta. Dziś podążam żelaznym szlakiem, wspinając się krętymi bocznymi uliczkami.

Nad oknem apteki kołysze się ze skrzypieniem drewniany szyld. Widnieje na nim uschły fioletowy kwiat, wyblakły i popękany od łuszczącej się farby, oraz nazwa: Zwiędła Dalia. Fasadę sklepu wykonano z drewna, sztukaterii i żelaza. Staję przed drzwiami, a one otwierają się do środka.

– Halo? – wołam, gdy wesołe dzwonki oznajmiają moje wejście.

Wita mnie jedynie mocny zapach ziołowej mieszanki. Między zagraconymi półkami wiszą pęczki bazylii, szaławii i anyżu. Do wewnątrz zwarto przylegających do siebie budynków nie dociera słońce, ale jestem pewna, że ujawniłoby gnieźdzące się tu okrucuchy magii.

W Zwiędłej Dalii zawsze było coś niezwykłego. Panująca tu aura wywołuje najbardziej szalone myśli – tu żadne życie nie wydaje się przesadne. Za każdym razem, gdy tu przychodzę, odkrywam na wystawie jakiś nowy, dziwaczny przedmiot. Gołębie łapki w zamkniętych słoikach, szuflady z etykietami informującymi, że w środku znajdują się ścięte irysy i naparstnice, płytkie kosze z pustymi skorupami orzechów – każda z tych rzeczy jest osobliwa sama w sobie, ale zebrane razem są jak subtelne pociągnięcia pędzla malarzkiego na płótnie.

Wśród panującej ciszy potrząsam małym dzwonkiem spoczywającym na ladzie i zamieram.

Sklep nie jest pusty, jak początkowo sądziłam.

Kobieta czekająca na to, aż ktoś ją obsłuży, od razu mnie rozpoznaje, nie musi nawet odwracać głowy. Stoi z uniesionym podbródkiem, wpatrzona przed siebie, ale i tak wie, że to ja.

– Wilhelmina – mówi srebrzystym głosem, w którym dźwięczy wieczne znecierpliwienie.

Przez zaciśnięte zęby odpowiadam:

– Witaj, mamó.

Rozdział 2



oja matka, Imogen Strauss, jakoś nigdy nie raczyła zauważyć, że gdy słyszę swoje pełne imię, z niezadowoleniem wykrzywiam usta. Dlaczego więc miałaby zrobić to teraz?

– Ufam, że masz się dobrze – odzywa się sztywno. Z racji pracy w dzwonnicy Uniwersytetu Buchari splecione dłonie ma brudne od smaru, ale jej starannie spięte włosy lśnią niczym złoto.

– Tak, dzięki. A ty...

– Jak nauka?

– Hmm... w porządku. – Drobne zmarszczki wokół jej ust pogłębiają się, więc szybko dodaje: – Radna Tamzin jest zadowolona z moich postępów.

Ogarnia mnie paskudne poczucie bycia niekompetentną; tym razem dotyk zegarka w kieszeni ledwo mnie stabilizuje.

Bycie Strażniczką Dzwonu to nie jedna rola, lecz dwie, a pomimo moich najlepszych starań jestem żałośnie nieprzygotowana do pełnienia tej drugiej. Nawet tu prześladuje mnie świadomość, że w dzwonnicy czeka na mnie ten wielki podręcznik. Z tak dużej książki nie może wyniknąć nic dobrego, ale skoro w przyszłym roku mam objąć również stanowisko przewodniczącej rady, muszę wykuć na pamięć

każdą jedną linijkę dotyczącą administracyjnych postępowań odwoławczych.

I zrobię to. Połknę cały ten prawniczy żargon, jeśli to będzie oznaczało, że wreszcie udowodnię matce swoją wartość.

Rodzicielka chrząka w zabawny sposób, ale nie mówi nic więcej.

Tłumię drwiący chichot, który tańczy mi na czubku języka. Nasza pierwsza rozmowa od prawie miesiąca, a już się skończyła.

Stukam stopą o podłogę, a cisza między nami gęstnieje, przytłaczając nas potencjałem niewypowiedzianych słów. Chyba powinnam być jej wdzięczna za to, że nie naciska. Po co mam znów wysłuchiwać, że nie spełniam jej oczekiwań? Ona z kolei też pewnie nie chce usłyszeć, jak bardzo się myli i że uważam ją za zgorzkniałą. Po tym, jak nasza ostatnia interakcja zakończyła się roztrzaskanym wazonem, nie mam ochoty ponownie przeżywać kłótni.

Gdy uświadamiam sobie, w jakim punkcie się znalazłyśmy, ogarnia mnie fala znanego mi aż za dobrze smutku. Śmierć ojca była ogromnym ciosem dla naszej relacji, niegdyś pełnej miłości, a tym, co ostatecznie ją dobiło, była ciągła dezaprobata matki wobec faktu, iż zostałam Strażniczką Dzwonu.

Według niej robię to źle, tak jak wszystko inne.

Przeznaczonego mi Vespera wybrano dla mnie, jeszcze zanim przyszedłam na świat. Moją starszą siostrę wysłano do Sądów na praktykę u wuja; brat kiedyś zastąpi ciotkę w katedrze. Matka od dziesięciu lat opiekuje się dzwonem uniwersyteckim jako Strażniczka Matriarcha, a ojciec, po prawie tak samo długim stażu u mojego dziadka, przejął pieczę nad Ratuszem Lyndell. Mnie, po śmierci babki, przypadła dzwonnica w Banku Farvald.

Każdy członek rodziny Straussów rozpoczyna szkolenie w wieku szesnastu lat. Nie tylko uczymy się, jak utrzymywać dzwonnice i zegary, przygotowujemy się też do pełnienia przypisanych nam funkcji urzędowych. Stanowiska te nie mają wynosić nas na salony, one są naszą misją: jako prawnicy, diakoni, bibliotekarze, przewodniczący rady miejskiej oraz księgowi służymy społeczeństwu i naszemu miastu.

Z początku przykładałam się do nauki. Ale brak przywiązania do cyferek oraz babki sprawił, że w końcu zaczęłam spędzać czas tam, gdzie czułam się najlepiej. Za to ojciec był bardzo szczęśliwy, mając we mnie pomocnicę.

„Mina ma jeszcze mnóstwo czasu na naukę o zakurzonych banknotach”, zapewniał matkę, gdy ta wściekała się, że opuściłam kolejną lekcję. „I tak połowa potrzebnej jej wiedzy dotyczy dzwonu, a te działają tak samo w ratuszu, jak i w banku”.

Ratusz Lyndell miał nigdy nie być mój, tak jak babka i ojciec mieli nigdy nie umrzeć. Niestety, osiem miesięcy temu, niczym piorun w tę samą iglicę, w naszą rodzinę uderzyła podwójna tragedia. Pierwsza była nieszczęśliwym wypadkiem; druga zaś całkowitą niesprawiedliwością.

Zanim ciała zdążyły ostygnąć, rozstrzygnięto kwestię sukcesji. Zagrożenie nie mogło czekać, podobnie jak matka. Naturalnym wyborem na zastępczynię babki w banku była Emiko, kobieta w wieku mojej siostry, która pracowała z nią przez te wszystkie lata, przez które ja uchylałam się od tego obowiązku. Wprawdzie nie należała do rodziny, ale nie ona pierwsza wypełniła pustkę po przedwczesnym odejściu któregoś ze Straussów. Ojciec natomiast nie zdążył jeszcze przyjąć praktykanta i dlatego jego miejsce mogła zająć tylko jedna osoba.

Ja.

Za aksamitną zasłoną na zapleczu słyhać głośny huk i brzęk słoików. Matka spogląda w stronę zamieszania, dzięki czemu widzę ją z profilu. Poza, którą przyjmuje, jest dokładnie taka, jak na portrecie wiszącym w rodzinnym domu Straussów. Na obrazie jej upudrowane policzki emanują młodzieńczym ciepłem, a szare oczy są świetliste i błyszczące.

Z tym że malarz, autor tego portretu, jest największym kłamcą w swoim fachu, bo kiedy Imogen Strauss na mnie spogląda, jej twarz nie emanuje niczym zbliżonym do ciepła czy światła.

Dusza ściska mi się z żalu, zamazuje mi się wzrok. Smutek to jednak uparte stworzenie. Potwór, głęboko zagrzebany w naszym wnętrzu, który nigdy nie odchodzi. Dopiero co dowiedziałam się o śmierci ojca, a matka już kazała mi wejść na dzwonnice i przygotować się do popołudniowego rytuału.

Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że tamtego dnia straciłam oboje rodziców.

Od tamtej pory do zwykłej matczynej krytyki, której zresztą mi nie szczędziła, matka dodała jeszcze mieszaninę ponuractwa, aż jej postawa przekształciła się w to, co mogę opisać jako autentyczną pogardę. Przy każdym zadaniu, któremu – w jej opinii – nie jestem w stanie sprostać, złośliwie podwajam wysiłki tylko po to, by jej udowodnić, że się myli. Jednak ona odmawia uznania dla mojej pracy, skupiając się wyłącznie na moich błędach. Nie docenia długich godzin, które spędzam, praktykując pod okiem radnej Tamzin, ani trudu, jaki wkładam w to, by przyswoić sobie każdy cholerny statut, nakaz i przepis, czyli to wszystko, co pozwoli mi w pełni przejąć przeznaczone mi role.

Nikt z nas nie chciał tego, co się wydarzyło, a ja proszę tylko o szczyptę aprobaty. Odrobinę dumy z tego, że stałam się sprostac jej oczekiwaniom, że próbuję być godna tego, czego wymaga ode mnie nasza rodzina i nasze dziedzictwo.

Nie pojmuję, dlaczego ma z tym aż taki problem.

Zza zasłony wyłania się zielarka. Taszczy dużą drewnianą skrzynię.

– Mina. Dobrze, że jesteś – mówi szorstko, bez cienia zaskoczenia.

Energiczna jak zawsze Vanya sprawia wrażenie osoby, której wszystkie działania mają swój określony cel. Wzdrygam się, gdy róg grzechoczącego pudełka uderza w ścianę, odłupując kawałek tynku, ale ona nawet nie mrugnie; natychmiast odstawia skrzynię i rusza dalej. Nie oznacza to, że ściana pozostanie uszkodzona – w ciągu kilku sekund Vaywyn zasklepia dziurę i kładzie na wierzch kwiecistą tapetę.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

Miasto Vaiwyn
stworzone przez
pradawnych Świętych jest
żywą istotą. Mina, Strażniczka
Dzwonu, bardziej niż ktokolwiek
inny rozumie, jak ważna dla
miasta jest opieka nad dzwonami.
To zadanie od pokoleń spoczywa
bowiem na rodzinie Straussów –
pilnować, by dzwony nie zaśpiewały
i nie zbudziły uśpionego od wieków
zła. Pewnego dnia dzwon rozbrzmiewa
trzysta razy, burząc kruchy spokój miasta.
A gdy zachodzi słońce, kamienne gargulce
i posągi z brązu rozpoczynają polowanie
na ludzi. Jedyna szansa na powstrzymanie ich
destrukcyjnego działania tkwi w unicestwieniu
ciała, w którym schroniła się dusza mrocznego
Świętego. Każdy staje się podejrzanym, nawet najbliżsi
Miny. Wkrótce dziewczyna będzie musiała zdecydować,
kogo jest gotowa poświęcić, aby ocalić swoje miasto.



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł